

PIŁONCZEK

TYGODNIK Z OBRAZKAMI DLA MŁODSZYCH DZIECI



PRZY KOMINKU.

Zima kocha dzieci.

Zima kocha dzieci.

Zima chce, żeby dzieciom z nią było dobrze. Żeby dzieci były wesołe. Żeby się bawiły. Żeby nabrały zdrowia i siły.

Więc zima przynosi ze sobą śnieg, lód i cudne, jasne słońce.

Pomyślcie tylko, jak smutno byłoby bez śniegu. Bez tego bielutkiego śniegu. Śnieg jest taki miły, taki mięciutki. Tylko wybiec na dwór i raz poraz robić: „buch w puch!!!“

Więc gdy tylko kochana zima świat śniegiem przysypie, nikt w domu nie usiedzi. Każdego gna na dwór!

Jest gdzie kawałek pustego miejsca — dalejże lepić bałwana! Albo śnieżkami się bić! To też przyjemna zabawa. Tylko trzeba uważać, żeby za kołnierz śniegu się nie nasypało. Brrr! jak wtedy niemiło!

Ale od lepienia bałwanów i od wojny śnieżkowej są jeszcze miłsze rzeczy.

Naprzykład — jazda na nartach.

Prawda, że to coś pysznego?

Zdawałoby się: nic, dwie deseczki u

nóg. Wielkie rzeczy! A tymczasem, gdy tylko przywiążemy do stóp narty, robi się tak, jakbyśmy u nóg mieli skrzydła! I to jakie skrzydła?! Orle chyba...

Co nam tam wtedy góry, albo doły! Lecimy, pędzimy! Coraz chyżej! Coraz dalej! Nikt nas nie dogoni, nikt nas nie prześcignie!

Irka wie coś o tem...

Ta mała Irka wie coś o tem. Patrzcie, jak się uśmiecha. Zupełnie, jakby mówiła:



— Zaraz się odepchnę kijkami od śniegu i... tyle mnie zobaczycie!

W innych krajach, tam, gdzie jest zimno, to wszystkie dzieci są takie zuchy, jak nasza Irka. Bo w tamtych, zimnych krajach śniegi leżą prawie cały rok. Więc dzieci do szkoły zamiast chodzić piechotą — jeżdżą sobie na nartach.

I milej to, niż gramolić się po kopnym śniegu, i prędzej.

Suw... suw... suw... nartami po śniegu, łąka nie łąka, pole nie pole... I już się jest na miejscu!

Ryś woli saneczki...



Ale Ryś, brat Irki, woli swoje sanki.

Nic, tylkoby od rana do nocy zjeżdżał na saneczkach z tej górki za domem.

Czasem fiknie koziółka w śnieg, aż go saneczki nakryją, ale cóż to szkodzi!

Ho! ho! jak Ryś dorośnie, będzie wielkim podróżnikiem. Pojedzie daleko... do samego śnieżnego kraju. Tam na północ. Dopiero to będzie miał przygody!

Wtedy Rysiowe saneczki będą ciągnęły psy — wilki.

Wszystkie dzieci razem!



Tymczasem jednak najmilej jest zebrać się całą gromadką, pozwiązywać saneczki i wspólnie podróżować po alejach

ogrodu. Śnieg chrupi pod płożami. Słoneczko się uśmiecha, a dzieci jada i śpiewają:

— Nasza zima dobra była,
sankom dróżkę wymościła!
Sankom dróżkę wysypała —
— dalej w drogę!

Hała! drała!

I. Jeziorówna.

Burek.

Stary Bu... stary Bu...

stary Burek mocno śpi.

I o py... i o py...

i o pysznej kości śni.

Już się bu... już się bu...

już się budzi, zjeśćby rad.

Gdzież ta ko... gdzież ta ko...

gdzież ta kostka, gdzież ten gnat?

Zamiast ko... zamiast ko...

zamiast kości, doło zła,

własny o... własny o...

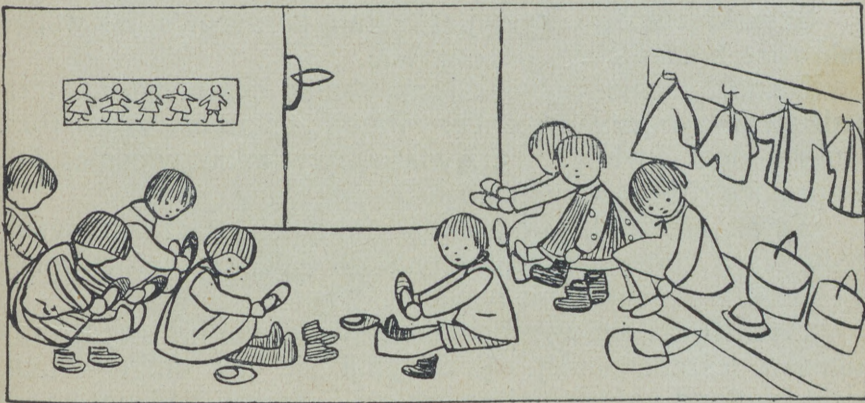
własny ogon w zębach ma.

K. Konarski.

Pamiętnik Stachurki.

Wczoraj opowiedziałam Mamie o zajączku i Mama mi dała na niego 10 groszy, żebym sobie składała. Więc leży w pudełku te 10 groszy.

My zawsze w ochronie zmieniamy buciki na pantofle. A dziś ja nie zmieniłam, bo były takie mokre, że mi się nie chciało dotykać.



TE DZIECI ZMIENIAJĄ BUCIKI, A JA NIE.

A Fela zobaczyła dopiero, jak ja już się ubierałam do domu. I Fela powiedziała, że choć ona nie widzi, to tak nie trzeba robić.

Ale kiedy te buty były takie mokre!

Przy kominku.

Ledwo zdążyły dzieci po lekcjach wybiec pod sosnę i wrócić z pełnemi koszykami szyszek, już wlokła się za nimi — szara godzina.

Wciskała się do domu przez okna, przez drzwi, każdą szparką.

Ścierała szarą chustą światło z szyb, ze ścian. Zdmuchiwała każdy promyczek. Rozwieszała po kątach swoje mroki.

Ale dzieci jej zaraz wojnę wypowiedzą. Ich fortecą będzie kominek. Będą w nim paliły szyszki.

Rozniecił dziadzio na kominku ogień, ułożył pachnące lasem smolne drzazgi i stos drewek suchych. Teraz dzieci sypią na ogień szyszki. Kto więcej! Kto prędzej!

— Moje już się palą!

— I moje też, patrzaj!

Szyszki jedna po drugiej zakwitają purpurowo, jak wspańnięte róże z zaczarowanego ogrodu.

Dziadzio umie jedną śliczną bajkę o królewnie, którą niedźwiedź uwięził w pałacu. Przed pałacem rosła róża i miała złote kwiaty. Te kwiaty były takie właśnie, jak te gorejące róże w kominku.

Teraz, kiedy lekcje odrobione, na kominku trzaska ogień, kiedy szara godzina przepłoszona do dalekich kątów pokoju — można się spokojnie bawić.

Piecuch już się wygramolił ze swojej mufki, bo tu, przy kominku jeszcze ciepłej. Rozciągnął się jak długi — tam, gdzie podłoga najmocniej wygrzana i mrczy pod nosem — taki rad.

Teraz na podłodze można rozstawić wojsko i gospodarstwo, zbudować z klocków pałac, fortecę albo stajnię.

Kolejka z pudełek od zapalek jeździ i wojsko do fortecy dostawia, gwizdząc przeraźliwie, że aż dziadzio uszy zatyka.

— Piecuch, usuń się, bo tędy kolej musi przejść!

Ale Piecuch ani myśli się ruszyć.

Dziadzio się śmieje:

— Zostawcie go, takie sobie dobre miejsce znalazł.

— To niech nam dziadzio bajkę opowie.

I już są oboje przy dziadzi.

— No, dobrze, ale o czym?

— O tych różach, co to była raz królowna i niedźwiedź...

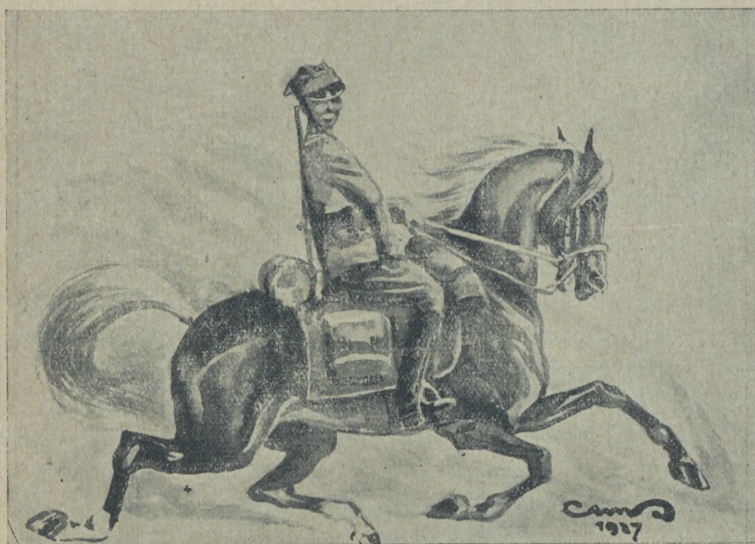
— Acha! no więc słuchajcie:

„Była sobie raz piękna i młoda królowna...

Dzieci słuchają, słuchają długiej bajki i patrzą, jak na kominku powoli szarzeją i rozsypują się w popiół ich gorejące różę.

M. Kownacka.

A jak ja dorosnę.



A jak ja dorosnę, to żołnierzem będę.
 Brzęknę ostrogami, konika dosiędę.
 I ten pałasz wielki tatusia przypaszę.
 Nigdy nie pozwolę, by wróg wziął, co nasze.

A jak ja dorosnę... Gdy zagra muzyka,
 zobaczycie wszyscy, kto naprzód pomyka?
 Kto naprzód pomyka i ulany wie dzie?
 Kto na swym kasztanku ostro, śmiało jedzie?

A. C.

O blaszanym żołnierzu.

(Opowiadanie z czasów ostatniej wojny.)

Kazik nie lubił tego żołnierza. Czemu? Niewiadomo. Dostał go od kochanej cioci Feli, od cioci Feli, która potrafi opowiadać śliczne bajeczki. No, bajki bajkami, a żołnierza Kazik nie lubił. I nie bawił się nim nigdy.

— Et... piechur taki! — krzywił się. — Patrz, mamusi, jakież on niezdarny! Karabin mu krzywo wisi na ramieniu. Szary taki i wogóle — piechur.

Trzeba bowiem wiedzieć, że tatuś Kazika służy w ułanach i dlatego chłopczyk uznaje tylko ułanów. Posiada też dwunastu drewnianych ułanów, kolorowych, świetnych. Lubi też dwie maleńkie armatki. Ale brak im obsługi.

Oto myśl: ten blaszany niezdara mógłby obsługiwać działa. Lecz nie. Kazik prędko odrzuca projekt. Nie można oddawać armat w ręce takiego niedołągi. Przecie tatuś mówił, że artylerja ważna jest w bitwach. A tatuś wie najlepiej, bo już drugi rok jest na froncie. I ranny był. I jest oficerem. I Kazik bardzo kocha swego tatusia.

I tak los piechura został rozstrzygnięty. Kazik postawił go przed sobą na dywanie. Wskazał mu pudełko od sardynek, stojące w kącie przy szafie i rzekł surowo:

— Będziesz pilnował magazynów z amunicją, rozumiesz? A jeśli zaśniesz, albo uciekniesz, każę cię wypędzić na cztery wiatry. Marsz!

— Rozkaz! — odparł żołnierz głosem Kazika. Widać było, jak się zmartwił, że nie pójdzie w bój. Krzywa, poczciwa buzia wykrzywiła mu się smutnie. Ha — trudno. Służba nie družba.

Pilnował tedy pudełka od sardynek przez tydzień jeden, drugi, przez miesiąc niemal. Nikt się o niego nie troszczył. A wreszcie zapomniano o nim.

Przychodziła ciocia Fela. Potem krawcowa. Potem monter, bo się światło zepsuło. Ale o żołnierzyka nikt i nie zapytał. Stał w kącie. Zakurzony. Smutny.

Aż tu nagle przyjechał tatuś Kazika. Na dwa dni przyjechał. I odrazu dom się zappełnił wesołym śmiechem, figlami. Mamusia poweselała zaraz. A Kazik już wcale nie opuszczał tatuśka.

Dwa dni przeszły prędko. Zaprędko. Trzeciego dnia tatuś wpadł do pokoju Kazika, by się z synkiem pożegnać. Wypalił z małej armatki, czyniąc wielkie zamieszanie wśród drewnianego wojska. I wtem spostrzegł posterunek przy szafie, koło pudełka od sardynek.

— A ten co tu robi? Skąd się wziął?

— Kazik dostał tego żołnierza od Feli, — odrzekła mamusia — ale jakoś nie bawi się nim.

— Czemu się nim nie bawisz, Kaziku?

— Nie lubię go, tatusiu. Jakiś taki brzydki, szary.

— No, to ja się nim będę bawił — roześmiał się tatuś — i zabieram go ze sobą.

I blaszany wojak, zapakowany do kieszeni tatusia, powędrował na prawdziwą wojnę.

Tymczasem w domu zaczęło się dzać gorzej. Mamusia stała się blada i smutna. A gdy usłyszała, jak mówiono o bitwach, toczących się na froncie, bladła jeszcze więcej, a potem Kazik słyszał, jak się modliła w nocy i płakała.

W tych to warunkach schodziło życie. Nawet Kazik posmutniał. Więc i jego podkomendnym, ułanom miny zrzedły. Kazik przestał się nimi zajmować.

Wreszcie w pewien smutny, jesienny dzień nadszedł list. Potem mamusia tak okropnie płakała, że nawet Kazik nie mógł jej utulić i myślał, że chyba już ta mamusia się zapłacie. I dowiedział się, że tatuś został ranny w bitwie.

Potem mamusia pojechała do jakiegoś innego miasta. Wróciła jeszcze bledsza. I co wieczór mówiła ze synkiem paciorek, żeby Bozia dał tatusiowi zdrowie.

I Bozia zlitował się.

Jakoś przed samą Gwiazdką przyszła karta od tatusia, że jest zdrowszy, że puszczają go ze szpitala, że na wigilję już będzie w domu i że w święta urządzi wielki przegląd Kazikowego wojska.

Oj, cóż to była za radość! Kazikowi zdawało się, że nigdy śnieg nie był tak srebrzysty i nigdy jeszcze słońce nie świeciło tak jasno, jak tego dnia. Chłopczyk skakał i śpiewał. Wyjadał rodzynki w kuchni, a mamusia nie gniewała się o to, tylko się śmiała.

Oczywiście, że żadne pióro nie potrafi opisać, jak ra-

dosną była ta wigilja. I gdy wreszcie na choince rozbłyły świeczki, gdy Kazik ujrzał przygotowane podarki, to myślał, że śni. Przecierał oczy, ścisnął tatusia, mamusię — i znów tarł oczęta. Wreszcie dosiadł wspaniałego siwosza na biegunach i pędził na nim... pędził! Potem rozsiadł się pod choinką i oglądał podarki, co chwila wydając okrzyki zachwyty.

Nagle się zastanowił.

Cóż to tam stoi w kąciaku ciemnym, pod gałązkami drzewka? Ależ to on, blaszany piechur! Lecz jak zmieniony!

Nogi i ręce dziwacznie powykręcane, głowa schylona, a karabin zniknął zupełnie. Czemuż to?

Wtem tatuś, który zauważył, że chłopczyk przygląda się piechurowi, rzekł nagle:

— Daj mi tu, Kazik, tego biedaka. Tak, a teraz usiądź przy nas i posłuchaj. Opowiem wam króciutką historyjkę.

Tatuś na chwilę zamilkł, a potem powiedział szybko:

— Czy wiecie, kto mi uratował życie? Oto ten blaszany żołnierzyna.

Kazika oczy rozszerzyły się ze zdumienia. A tatuś wziął rękę mamusi w swoją dłoń, przytulił synka i mówił dalej tak:

— Pamiętacie, że odjeżdżając, zabrałem żołnierzyka ze sobą. Potem zapomniałem o nim. Ordynans, czyszcząc mundur, także go nie wyjmował i tak tam sobie biedaczysko tkwił w kieszeni. Zaczęły się krwawe walki. W bitwie pod M. dostałem pchnięcie bagnetem. Straszne pchnięcie nie pozbawiło mnie jednak życia, bo pierwszy impet zatrzymał się na blaszanej zabawce. Potem ostrze osunęło się — już słabiej. Z ciężkiej rany wyleczono mnie. Zaś lekarz w szpitalu zapewniał mnie poważnie, że — jego zdaniem — życie swe zawdzięczam opiece Boskiej, która wzgardzoną zabawkę kazała mi schować na sercu. Blaszany żołnierz jest wierny i wdzięczny, choć szary taki. I dlatego to postawiłem go pod choinką, aby i on dziś cieszył się z nami.

Kazik słuchał, słuchał. Potem bawił się znów wesoło, tylko na blaszanego wojaka spozierał coraz częściej. Skrycie i coraz częściej. Ale bawił się lwem i ślicznem, maleńkiem autem i ułanami.



...I OGLĄDAŁ PODARKI...

Niestety i w wigilję musi człowiek iść spać. Tak też było i z Kazikiem.

Gdy mamusia układała synka do snu, dziwiła się w duchu, że Kazik nie zabrał do łóżeczka żadnej zabawki. Bo zwykle w wigilję zabierał tę, którą polubił najmocniej ze wszystkich. Nic dziś nie zauważyła.

Potem mamusia i tatuś siedzieli jeszcze długo w drugim pokoju i rozmawiali. Przez uchylone drzwi słyszeli, jak Kazik kręcił się na łóżeczku, potem ziewnął smacznie. Zasnął.

Późno już było, gdy tatuś wstał i rzekł:

— Pójdę zajrzeć jeszcze, czy mały śpi.

— Dobrze. Chodźmy do niego. Zobaczymy, czy tym razem nie ma żadnej zabawki w łóżeczku. Przecie chyba ma ją tam przy sobie — tę najmilszą, która mu się najbardziej spodobała i którą pokocha.

Podeszli, schylili się nad łóżeczkiem, patrzą...

Synek ich przez sen tuli do serca ze wszystkich sił małeńką, niezdarną figurkę blaszanego żołnierza.

Kazimiera Głębocka.

Watowe ludki.

Okna były trochę nieuszczelne, więc mróz pchał się przez nie do mieszkania.

Poszła mama do sklepu i kupiła dużo białej i trochę kolorowej waty.

— Naco to? Poco to? — zaciekawiły się dzieci.

— Włożymy tę watę pomiędzy okna — powiedziała mama, — to zaraz będzie ciepłej.

Tak też zrobiła.

Ale trochę waty zostało. Tej białej i tej czerwonej. A nawet spory kłaczek zielonej też został.

— Możecie sobie tę watę wziąć do zabawy — powiedziała mamusia i położyła niepotrzebną już watę na stoliku.

Dzieci zaraz obstały stolik. Jak się tu bawić watą? Co z niej zrobić? Laleczki może? Ale jakie i poco? Nic mądrego nikomu nie przychodzi jakoś do głowy. Aż tu najmłodszy Julek wyciąga łapki i krzyczy, że:

— Julecek wi! Julecek wi!

— Cóż ty wiesz, Juleczku? — śmieją się z malca starsze dzieci.

— A matówtowe ludty! — powiada z dumą Juleczek.

— Co? Makówkowe ludki? Jakie makówkowe ludki?

— A te z Płomycka... Domek ich jest...

Przypomniały sobie dzieci te makówkowe ludki z Płomycka, które się wtedy tak Juleczkowi podobały, że odejść nie chciał od szopki i ciągle wołał: „Jesce strlach! Jesce strlach!”. Prawda, że szopka jest i że... mogłaby się przydać teraz dla nowych laleczek. Doskonała myśl! Tylko, że to już będą się nazywały nie „makówkowe” a „*watowe ludki*”.

— Hurra! Juleczek! Wiwat! Hip, hip! Pyszny pomysł! Do góry Juleczka!

Wreszcie uspokoiły się dzieci na tyle, że można było przystąpić do roboty.

Coprawda, wykonanie jeszcze trudniejsze bywa, jak samo pomyślenie, ale przecież nie tak trudne, żeby nie dało się zrobić. A co przy takiej robocie śmiechu, a żartów! I naprawdę to tylko z początku było troszeczkę trudno. A potem to już szło, jak po maśle. Nawet mamusia ani razu nie po-

mogła. A przecież jeszcze tego samego dnia „watowe ludki” były już gotowe. I nie jeden ludzik, nie dwa... cała gromada.

A kogo to przedstawiają te ludziki z waty?

Kogo? Ho ho! nie byle kogo: Królową Zimę, jej służki Śnieżyczki, Bałwana śniegowego...

Już teraz, gdy tak leżą na stole, wydają się jak żywe, a co to będzie, gdy w niedzielę ukażą się w szopce-teatryku?

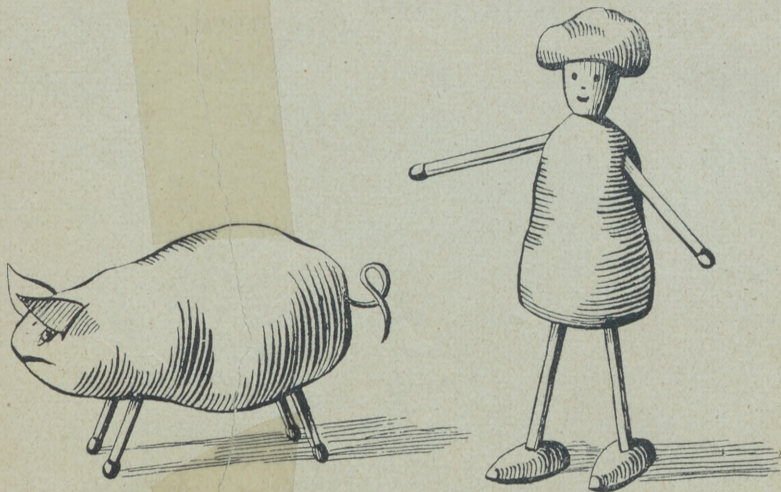
E. Szelburg.

W przyszłym numerze „Płomyczka” podamy Wam komediijkę do odegrania przez „watowe ludki”.

Wojtek Ziemiakowski.

Wojtek pędzi prosiaka na jarmark.

Patrzcie, jak wymachuje rękoma z zapalek i zbiera prędko zapalkowe nogi, aby za nim zdążyć. A ubrał się paradnie tak, jak na jarmark przystało: buty ma z żołędzia, na głowie, też z żołędzia, beret, prawdziwy beret — z kasztana!



Tułów to Wojtek ma z ziemniaka. Pewnie takiego Wojtka to jeszcze nie widzieliście!

Ale świnka też jest inna, niż wszystkie świnki na świecie. Taka tłusta i wesoła! Ogon ma ze sznurka i ucieka przed Wojtkiem. A nuż uda się jej zawrócić prosto do chle-

wa. Bo wcale nie wie, co ją tam na jarmarku czeka. Ciężko jej dźwigać na cienkich, zapalkowych nogach duży tułów z ziemniaka, ale cóż robić! Tylko zerka na prawo i lewo małemi, czarnemi oczkami ze szpilek, nastawiła uszy z kartonu i zmyka.

A wiecie, kto się bawi takimi zabawkami? To Jaś i Zosia. Sami je sobie zrobili. Nazbierali w ogrodzie kasztanów i żołądź, z koszyka w kuchni powyciągali co zabawniejsze ziemniaki i dalej-że wieczorem fabrykować zabawki.

Weźcie i Wy przykład z Jasia i Zosi, a może wymyślicie jeszcze coś bardziej śmiesznego.

M. S.

Kto pierwszy odgadnie?

ZAGADKA.

Chodzę strojny co się zowie!
Krasny kołpak mam
na głowie,
barwne pióra, zaś ostrogi
zdobią moje cienkie nogi.
Nikt a nikt mi nie przygani,
żem śpioch: wstaję
jaknajraniej.

Nieraz słyszysz mnie,
chłopczyku,
jak cię budzę:
K. — . . — . . — . . !

ROZWIĄZANIA Z Nr. 20.

Rebus: KIJ MA DWA
KOŃCE.

Zagadka: LIS.

WARUNKI PRENUMERATY:

| | | | |
|---------------------------|----------------------------|---------|--------|
| „Płomyczek” | 1 zł. — — | ” ” ” ” | 9 zł. |
| „Płomyczek” z „Płomykiem” | miesięcznie 2 zł. — — | ” ” ” ” | 18 zł. |
| „Płomyk” | miesięcznie 1 zł. 50 gr. — | ” ” ” ” | 14 zł. |

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,
„Płomyczka” z „Płomykiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18. Konto czekowe P. K. O. № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godz. 9 rano do 7 wiecz. Prenumeratę przyjmuje oprócz administracji „Nasza Księgarnia” — ul. Widok 22 i Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — ul. Marszałkowska № 123.

Wydawca: w imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — JANINA PORAZIŃSKA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.